

W „Ślubnej fotografii”,  
w reżyserii Piotra Cieślaka,  
Teatr TV, 1995

Jadwiga Jankowska-Cieślak

**– AKTORSTWU OD POCZĄTKU TOWARZYSZY STRES. W TYM ZAWODZIE NIE MA PEWNOŚCI, ŻE PO JEDNYM SUKCESIE PRZYJDZIE NASTĘPNY. MOGĘ OCZYWIŚCIE OTRZYMANĄ W CANNES NAGRODĘ POWIEŚĆ W UBIKACJI I WPATRYWAĆ SIĘ W NAPIS „ZŁOTA PALMA”, ALE PRZECIEŻ NIE OZNACZA ONA, ŻE KTOŚ MI POWIE: „STARA, OD DZIŚ MASZ ZAŁĄTWIONE. GRASZ WYŁĄCZNIE NAJLEPSZE ROLE”. NIE JEST HUŚTAWKA: ZAANGAŻUJĄ, NIE ZAANGAŻUJĄ, DOSTANĘ ROLĘ, NIE DOSTANĘ, SPODOBAM SIĘ, NIE SPODOBAM. CAŁY CZAS MA SIĘ ŚWIADOMOŚĆ ŻYCIA W ZAGROŻENIU.**

Z Grażyną Szapołowską w „Innym spojrzeniu”, 1982 r.

Fot. ARCHIWUM



JOLANTA ZAREMBINA

## Uosobienie wrażliwości

A jednak Jadwiga Jankowska-Cieślak odnalazła w teatrze poczucie pewności i spełnienie.

– Teatr pozwolił mi odejść od dwuznaczności życia – sądzi. – Wychowałam się w katolickim domu, w którym po wojnie tradycje religijne przemierzały się z ideami komunizmu. Ojciec postanowił być głęboko partyjny, bo wierzył, że nowy ład jest szansą dla kraju. Systemy wartości kłóciły się ze sobą, czułam się zagubiona, nie wiedziałam, co jest prawdą.

Odkryła teatr. Przypadkiem jako trzynastoletka kupiła bilet na spektakl w warszawskim Dramatycznym i pierwszy raz w życiu usiadła na widowni.

– Patrzyłam szeroko otwartymi oczami i myślałam „Boże, cóż to za wspaniała rzeczywistość. Gdyby tylko udało mi się do niej dostać”. Teraz wiem, że tamten spektakl był głupi i niedobry, ale mimo to stał się dla mnie impulsem. W domu traktowano scenę raczej pogardliwie: jeśli masz dużo czasu i zupełnie nie wiesz, co z nim zrobić, możesz iść do teatru. Dla rodziców aktorzy byli komediantami. Woleli, żebyśmy wybrały porządnego zawodowego prawnika czy lekarza. Myślałam o tym, ale zwariowałam na punkcie teatru. Na spektakle chodziłam prawie codziennie.

Już po pierwszym roku studiów w warszawskiej PWST dostała propozycję dużej roli w „Kolumbach” Janusza Morgensterna. Odmówiła.

– Pokazanie się w filmie oznaczało wtedy usunięcie ze studiów. Zagrałabym u Morgensterna, a co potem? Jedną, dwie podobne role u kogoś innego, a może żadnej propozycji. Egzamin musiałabym zdać eksterministycznie i kto wie, czy daliby mi aktorskie uprawnienia. Myślałam: nie zagram tej roli, ale za to skończę szkołę, nauczę się zawodu, zaangażuję w teatr. I miałam rację, bo na IV roku spotkałam Jerzego Jarockiego. Wszystko, co wiem o zawodzie, wiem od niego. Był dla nas niekwestionowanym bogiem sceny, ufaliśmy mu do końca. Może dzięki niemu kilka osób z mojego roku do dziś świetnie prosperuje: Jurek Radziwiłowicz, Marek Kondrat, Joanna Żółkowska, Ewa Dałkowska, Krzysiek Kolberger. Jarocki przekonał nas, że jeśli aktor nie ma poczucia własnej siły, jeśli nie wierzy, że rzuci publiczność na kolana, nie ma po co wychodzić na scenę.

Morgenstern ponownie zaproponował jej współpracę, gdy skończyła PWST. Rola Magdy w „Trzeba zabić tę miłość” była sukcesem – aktorkę uznano za uosobienie wrażliwości i buntu młodych lat 70.

– Obiecałem sobie, że jeśli tylko będę robił film współczesny i poszukiwał młodej dziewczyny, będzie nią Jadwiga – wspomina Janusz Morgenstern. – Kiedy zacząłem kręcić „Trzeba zabić tę miłość”, ekipa była przeciw niej, wszyscy mi ją odradzali. Po pierwszych zdjęciach przyznali, że miałem rację. Od początku wiedziałem, że warto z nią pracować: w jej grze nie było cienia fałszu. Rola została świetnie przyjęta. Byłem jedyny, który w to wierzył od początku.

– Jadwiga brylowała na planie – twierdzi Andrzej Małec, który jej partnerował. – Zazdrościłem jej niebawalego luzu, bo sam bardzo przeżywałem swoją główną rolę. Pamiętam, że kiedy kręciliśmy scenę miłosną, Himilbach, który grał ciecia, akurat mył okno i zajrzał do naszego pokoju. Swój epizod poprowadził tak, że na nasz widok spadł z okna.

Po studiach Jadwiga Jankowska-Cieślak wybrała eksperymentalny teatr w Puławach. Byli tam Małgorzata Dziewulska, Ewa Benesz, Ryszard Peryt i jej mąż Piotr Cieślak.

– Byliśmy młodzi, zbuntowani, musieliśmy odrzucić uznane autorytety. Wydawało nam się, że tradycyjna scena nie ma racji bytu. Chcieliśmy znaleźć własny teatralny język. Wierzyliśmy, że trzeba pójść do robotników. „Pokażemy im, czym jest młodość i teatr” – myśleliśmy. Tak powstał profesjonalny zespół aktorski przy Zakładach Azotowych w Puławach. Byliśmy zatrudnieni jako instruktorzy Domu Kultury. Teatr przetrwał trzy lata, cud boski, że tak długo. Nasze artystyczne mrzonki nie pokrywały się z potrzebami widza. Robotnicy woleli pojechać do Lublina albo Warszawy na operetkę niż oglądać nasze eksperymentalne spektakle powstające z fascynacji Grotowskim. Partyjne instancje uznały, że rozbijamy ideologię i teatr zamknięto. Teraz na festiwalu w Edynburgu odniósłby sukces, wówczas przeszedł nie zauważony.

Wielkie dramatyczne role zagrała w warszawskim Teatrze Dramatycznym kierowanym przez Gustawa Holoubka: Elektry Giraudoux, Mańkę w „Ślubie” Gombrowicza, Medę Eurypidesa, Judytę w „Księżu Marku” Słowackiego. Stworzyła wielkie, dramatyczne kreacje.

– Wiem, jak smakuje wielki teatr i co to znaczy, kiedy ludzie przeżywają przedstawienie – mówi. – Może są teraz sprawy ważniejsze: jak zapłacić za mieszkanie czy prąd, ale jednak coś w ludziach drzemie, od czasu do czasu trzeba porozmawiać o głębszych sprawach. A taką rozmowę proponuje teatr. Jeśli uczciwie wykonuje się aktorską robotę, ta rozmowa ma sens. W życiu są przecież sprawy istotne, nie tylko gonitwa za groszem.

Po rozpadzie Teatru Dramatycznego starała się odnaleźć swoje miejsce w innym zespole. Rozpoczęły się jej wędrowki po Polskim, Nowym, Powszechnym. Jak wspomina, w Teatrze Polskim Kazimierz Dejmek „przechowywał” ją za kulisami. Adam Hanuszkiewicz, dyrektor Nowego, przysłał jej 8 marca wywołanie. Była w ciąży, ale wolała poszukać innego miejsca niż wytaczać proces. Będąc w Powszechnym najpierw musiała zająć się dzieckiem, dopiero potem pomyśleć o karierze artystycznej. Zagrała

tam w „Tańcach w Ballenberg”, „Okruchach czułości”, „Wariacjach Goldbergowskich”.

– W Powszechnym były już Joasia Żółkowska, Ewa Dałkowska, Krystyna Janda. Nie można zatrudniać tylu kobiet w tym samym wieku, jeśli wystawia się pięć przedstawień rocznie z jedną poważną rolą żeńską. Jak w niej obsadzić cztery dobre aktorki? Musiałam odejść.

– Jestem zafascynowana Jadwigą – wyznaje Ewa Dałkowska. – To najbardziej tajemnicza osoba, jaką spotkałam. Skupiona w sobie, oszczędna w wyrażaniu opinii, mówi tylko to, co niezbędne. To u kobiet cecha rzadka. Pociąga ją wyczyn. I w życiu, i w teatrze. Na scenie nigdy nie wiadomo, jak zagra, jak rozpracuje postać. Frapuje mnie ta niewiadoma. Gra zawsze o wysokie stawki bardzo ryzykując. I albo się mocno myli, albo jest wspaniała i niepowtarzalna jak w „Trudnych ludziach”. Zagrała w nich przejmująco i prawdziwie, a mnie, siedzącej na widowni odechciało się uprawiać zawód. Jej rola była na tak wysokim poziomie, że „z czym ją do ludzi”. A do tego Jadwiga jest kobietą pracującą w domu: haftuje, wyszywa, gotuje, maluje. Spotkałyśmy się na wakacjach w Orawce. Cała rodzina Cieślaków rano wyjeżdżała na rowerach i zniknęła na cały dzień. Najmłodszego, ponad rocznego synka wkładali do kosza na ramię i nie było takich tras, których by nie pokonał. O temperamentcie Jadwigi mówi jej marzenie: chciałaby przejechać rowerem wzdłuż całego Dunajca.

Od 1994 r. Jadwiga Jankowska-Cieślak gra w Teatrze Dramatycznym, gdzie dyrektorem jest jej mąż Piotr Cieślak. W „Szkarszałatnej wyspie” Bułhakowa zagrała więc...dyrektora.

– W życiu rola dyrektora jest niewdzięczna i nigdy o niej nie marzyłam. W spektaklu – przeciwnie, pomysł był zabawny. Emocjonalnie jestem bardzo związana z Dramatycznym. Gra w nim wielu moich studentów. Wysoko ich cenie: przyszli do teatru, kiedy był w trudnej sytuacji, wytrwali i są.

– Umawialiśmy się z Jadwigą jeszcze podczas studiów, że nie będziemy łączyli naszych spraw zawodowych – twierdzi jej mąż Piotr Cieślak. – Ona przeżywała teatralną przygodę u Holoubka, ja – u Hübnera. Ale przyszedł stan wojenny i straciliśmy swoje teatralne ojczyzny. A że obydwoje mieliśmy sentyment do Dramatycznego, zaczęliśmy tu pracować razem. Przekreśliliśmy umowę z lat szkolnych, ale nie odczuwam z tego powodu dyskomfortu. Jadwiga nie ma pretensji „dyrektora”. Zawsze była ostra w sądach, nie wyrażała opinii „letnich”: dobrze oznacza u niej dobrze, a źle – źle. Liczę się z jej zdaniem tak, jak liczyłem się przedtem. W głównych rolach lat 70. wykreowała kobietę przegraną, kobietę, która pada ofiarą swoich poglądów, niezależności, nietolerancyjnego społeczeństwa czy mężczyzn, którzy do niej nie dorastają. Po 1989 r. w polskim kinie przyszło zapotrzebowanie na kobiety sukcesu i dla Jadwigi był to trudny moment. Ale te kobiety, które miały odnieść sukces, już go odniosły i film wraca do pokazywania bardziej skomplikowanej rzeczywistości.

Aktorka dramatyczna zagrała też role komediowe: w „Mężu i żonie” Fredry czy „Wieczorze trzech królów” Szekspira.

– Świetnie się czuję w komedii, a jeśli w niej nie występuje, to dlatego, że nie chodzi i nie proszę. Ma opinię nietawnej we współpracy.

– Co mnie dziwi, bo jestem tolerancyjna i życzliwa – mówi. – Tyle że mam własne wyobrażenie o roli. Niektórzy reżyserzy nie tolerują tego, żądają, żeby realizować ich sposób widzenia. Kończy się rozmowa o pryncypiach. Nie ustępuję i wtedy jestem „trudna”. W tym zawodzie można być niezależnym tylko w niewielkim stopniu. Usiłowałam decydować, co i jak będę grać, ale życie brało górę. Musiałam iść na ustępstwa niezgodne z moimi artystycznymi upodobaniami. Inaczej „wypadłabym” z tzw. rynku.

Największym jej dotychczasowym sukcesem była Złota Palma na festiwalu filmowym w Cannes za rolę w „Innym spojrzeniu” Karola Makka.

– Na zdjęciach próbnych w Budapeszcie przez trzy dni walczyłam jak lwica, tak podobał mi się scenariusz. Rola była wyzwaniem. Podczas realizacji reżyser próbował, do jakiego stopnia znieśmy z Grażyną Szapołowską jego humory. Scenę wybuchu rozpaczki można powtórzyć raz, ostatecznie dwa. Ja musiałam 50 razy. Słyszałam tylko: „Dubel! Dubel! Dubel!” Bez wyjaśnienia, czy ma być szybciej, wolniej, głośniejsze, ciszej. Grałam lesbijską, ale nie mogłam uzmysłowić sobie, co to znaczy kochać tę samą pieć. Scen miłosnych nienawidziłam. Jedną z nich był nasz pocałunek w kawiarni. Godzinami siedzieliśmy z Grażyną przy kawiarzianym stoliku przygotowując się do tego ujęcia. Po tem dziesiątki powtórzeń, a za każdym razem przenikał mnie wstyd i poczucie niesmaku. Oglądając film byłam zszokowana, że wyszło tak lirycznie.

– Sceny najtrudniejsze grało nam się najłatwiej, w sposób naturalny, bez uprzedzeń – twierdzi z kolei Grażyna Szapołowska. – To była zabawa, nic więcej i Jadzia o tym wiedziała. Była inteligentniejsza

od reżysera. Makk chciał nas „podejść” sprytem: nie mówił otwarcie, tylko prowadził gierki. Jadzia potrafiła je przewidzieć. W Cannes denerwowała się, całą noc nie spała, chodziła po plaży. Kiedy już wiedziała, że dostanie nagrodę, stwierdziła: „Ale dla mnie z tego i tak nic nie będzie”. Przewiduje wszystko, może niepotrzebnie. Gdyby było w niej więcej optymizmu, jej losy potoczyłyby się w bardziej światowym kierunku. Ona niszczy się pesymizmem. Jak gdyby się obawiała, nie wierzyła, nie chciała skorzystać z okazji. Znajdują się wokół niej osoby, które nie sprzyjają, żeby rozwinęła skrzydła. Może je jeszcze różnimy.

Złota Palma nie przyszła w najlepszym momencie – był rok 1982, stan wojenny i aktorski bojkot. Obydwu aktorkom udało się wyjechać do Cannes jako... Węgierkom.

– Węgierska ekipa składała się z kilkunastu działaczy partyjnych, reżysera z żoną i nas dwóch. Dostałyśmy paszporty na wariackich papierach. Pozwili nam jechać tylko na dwa dni i trzeba było wielkich starań, żebyśmy mogły zostać na rozdanie nagród. O tym, że dostanę Złotą Palmę, poinformował mnie telefonicznie anonimowy rozmówca. To był szok i wielkie szczęście. Tak jakby Pan Bóg powiedział: „A teraz jesteś Kopciuszką na balu”. Mogłam zobaczyć, jak wygląda świat z drugiej, „lepszego” strony. Okazał się tak oszalany i ogłupiały, że nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Gdybym tam została, może miałabym dziś dom na Majorce, ale za cenę grania piętnastej roli w tasieciem dziesiątego gatunku. Nigdy nie zależało mi na karierze w stylu zachodnim – nie akceptuję tamtego stylu. W Polsce wściekam się, stresuję, irytuje mnie nasza krytyka, ale tutaj teatr ciągle ma wymiar wielkiej sztuki. A to jest sprawa najistotniejsza.

W kraju nie zasypano jej propozycjami. Na kolejną rolę wartą zagrania czekała 12 lat.

– Owszem, były jakieś propozycje ról nieważnych, w których miałabym mignąć na ekranie, żeby wesprzeć produkcję nazwiskiem. Byłam wybredna, nie chciałam powielać stereotypów i zapłaciłam za to swoją cenę. Ale nie będę chodzić i pytać reżysera: „Czy skorzysta pan z usług?” Jak nie chcieli, to nie chcieli. W końcu Andrzej Wajda zaproponował mi rolę w „Pierścieniu z orłem w koronie”. Epizod, ale zawsze marzyłam, żeby spotkać się z mistrzem, więc przyjąłem go z radością.

Gotowego filmu nie obejrzała, podobnie jak większości swoich ról filmowych. Nie chciała oglądać najnowszego, czekającego na telewizyjną emisję „Wezwania”, w którym zagrała lekarke pogotowia arestowaną w stanie wojennym, oskarżoną o pobicie pacjenta.

– I nie chcę zobaczyć. Nie jestem kompetentnym widzom samej siebie. Za każdym razem, kiedy oglądam się na ekranie, ogarnia mnie przerażenie – włączają się wszystkie systemy krytyczne. Moje wyobrażenie na temat tego, co zrobiłam, a to, co widzę, są zupełnie różne. W teatrze jest łatwiej. Gra na scenie sprawia mi przyjemność. Może dlatego, że nie jestem w stanie równocześnie usiąść na widowni i spojrzeć na siebie z drugiej strony.

Polscy reżyserzy nie potrafili dotąd wykorzystać w pełni jej talentu.

– Nie mam poczucia porażki. Po prostu tak się ułożyło. Wybrałam to, co uważałam za wartościowe. Mogłam dokonać innych wyborów, np. kariery i pieniędzy w Ameryce, ale wtedy być może nie miałabym rodziny. Wykorzystywałam szanse na tyle; żeby niczego nie robić wbrew sobie.